

Jerzy Stokowski

Mistrz Leon Wyczółkowski

Z okazji wystawy jego prac w Zachęcie

Prawie niemożliwe ze względów technicznych jest jednocześnie po kazanie całej twórczości zmarłego w grudniu 1936 roku Mistrza. Poza tym bowiem, że Wyczółkowski tworzył nieprzerwanie przez kilkadziesiąt lat, bo od roku 1869 do 1936, był z pewnością unikatem, jeżeli chodzi o samo natężenie pracy.

Nawet w ostatnich latach rysował po kilkanaście godzin na

wem wypowiedzianym przez „Wielkiego Wyczółka” ex cathedra i każda jego praca była rewelacją, nad którą nie można było przejść do porządku tak, jak się zwykłe przechodzi nad znaczną częścią prac pokazywanych na normalnych wystawach.

Wyczółkowski zaczyna swoje studia malarskie jako 17-letni

chłopiec w warszawskiej szkole rysunkowej Gersona. Potem wyjeżdża do Monachium. Tu w pracowni Wagnera kształtuje się jego pierwsze zdecydowane podejście do natury — realizmu, którego nie zdołał zniszczyć nawet wpływ Matejki.

Rok 1880 zastaje Leona Wyczółkowskiego w Warszawie i tu-

taj monachijski koloryt wzbogaca się o nowe, dawniej niespotykane rozświetlenia i urozmaicenia palety. Zjawia się pierwsze otrząśnięcie się ze „szkół” i pierwsza swoboda wypowiedzenia się rysunkiem. W tym okresie powstają takie prace, jak „Ujrzałem raz...”, „W pracowni” i „Rozmowa”. Wyczółkowski zaczyna

być wirtuozem rysunku i koloru wystrza i wysubtelnia swoje spostrzeżenia, tworząc nieraz znakomite i pełne werwy notatki z życia, które go otacza.

Bezpośrednio po tym do prac Wyczółkowskiego, jako główny aktor wchodzi słońce i wibracja światła. Czy stało się to pod wpływem Paryża, w którym Wy-

czółkowski był w 1889 roku, czy pod wpływem Pankiewicza będącego wówczas największym z am basadorów francuskiej rewolucji koloru i światła w polskiej sztuce — trudno dzisiaj powiedzieć. Do Wyczółkowskiego przemówiła sama zasada. Poszedł jednak własną drogą, bo coś wspólnego z Monet'em, Renoir'em, Pankiewiczem, lub Gieryskim mają jego „Pacholeta” — arcydzieło swobody operowania światłem i wspaniałą syntezą kolorów.

W niedługim też czasie stworzył ogromną symfonię barw — ostatnią wersję „Orki na Ukrainie”.

W roku 1895 Wyczółkowski zostaje profesorem Krakowskiej



Dr. Kazimierz Dłuski

dobę, ćwicząc jak student pomimo kompletnego opanowania formy rysunek, techniki malarskie, graficzne i swoje zadziwiające zestawienia technik. Do tych samych pomysłów kompozycyjnych lub pejzażów powracał kilkakrotnie, często nawet bez zmiany układu jak w „Lirniku”, czy „Orce na Ukrainie”, lub w krakowskich widokach Wawelu. Robi to nie tylko wtedy, kiedy w pierwszym okresie rozwoju po akademickim eksperymencie, ale taki rodzaj poszukiwań będzie do końca życia jego linią postępowania i do końca życia jedną i tę samą kompozycję będzie przepracowywał dotąd, aż sam będzie z niej całkowicie zadowolony i aż wypowie się w niej bez reszty.

Urządzone w przeciagu kilku miesięcy od jego śmierci wystawy w Krakowie, Bydgoszczy i ostatnio w warszawskiej Zachęcie, wzajemnie się uzupełniają i zacieśniają. Jeżeli jednak nie okazują artysty w całej pełni, ze wszystkimi wariantami jego sztuki, to w każdym razie dobrze wprowadzają w atmosferę, w której pracował i stawiają nas wobec wielkiej indywidualności i niewątpliwego geniuszu.

Do jego obrazów, teraz już bez

Alina Orzechowska

Płynie struga wino...

Dzień św. Stefana w Budapeszcie

Sto tysięcy cudzoziemców na święcie narodowym Węgier

Dzień świętego Stefana — pierwszego króla Węgier, obchodzony jest w całym kraju bardzo uroczysto — kto jednak chce zobaczyć święto narodowe Węgier w całej jego barwnej krasie i przepychu, musi jechać do Budapesztu.

Od wczesnego szarego świtu zjeżdżają na obrzymi dworzec wschodni w Budapeszcie specjalne pociągi z całego kraju; na spowitych w białe — zielone — czerwone szatki peronach panuje ożywiony gwar — wśród różnorodnej ciżby podróżnych z trudem przeciskają się wózek z widelnicami i brzośkami i o szklone papierosowe budki na kółkach, malowane w żółte liście tytoniu.

Z trudem zdobywam miejsce w tramwaju — nad głową zwisa mi koszyk pełen apetycznych preli; piekarze budapeszteńscy przygotowali ich podobno kilkadziesiąt tysięcy sztuk. Na tydzień przed świętem narodowym zwożono do miasta specjalne zapasy żywności — całe wagony winogron, papryki i kukurydzy — w ciągu świętecznego dnia trzeba bowiem wyżywić zgórą sto tysięcy cudzoziemców, przybyłych na uroczystości z całego świata i conajmniej drugie tyle przyjezdnych z węgierskiej prowincji.

Od mostu trzeba już wspinać się piechotą po kamiennych schodach na wyniosłe wzgórze Budy, gdzie rozciąga się w porannym słońcu przepyszny pałac królewski, wieża koronacyjnego kościoła i olśniewające białe mury rybackiej baszty. Ludzie starsi czekają w ogonku przed zębatą kolejką, która przewozi na górę za cenę... jednego grosza. Niecierpliwa młodzież nie chce czekać na windę i galopuje bocznymi ulicami i schodami, byle przedrzeć się wreszcie dogodny posterunek obserwacyjny na ulicy.

O wpół do ósmej ulice, którymi suną procesja, zapchane są już po brzozy publicznością. Słyszysz się język francuski, angielski, włoski i niemiecki, biegają tam i spowrotem korespondenci zagranicznych pism i fotografowie. Trybuny zasłane są draperiami o barwach narodowych — nad głównym wejściem do kościoła koronacyjnego — brama triumfalna ze sztandarów.

Jest cicho, jak makiem zasiał. Krótki szmer — idą! — i znowu cisza, wszystkie oczy zwrócone w jedną stronę.

W pierwszym rzędzie procesji — inwalidzi wojenni. Oliwkowe mundurki, żelazne hełmy przystrojone symbolicznym dębowym liściem. Twarze skupione, poranne zmarszczeniami. Wielu brak ręki lub nogi — słychać wyraźnie stuk drewnianych łasek i suche trzaskanie fotograficznych aparatów na trybunach.

Przeszli. Twarze wśród tłumy wzruszone — na Węgrzech bowiem jak w żadnym innym kraju pamięć wielkiej wojny i jej krzywd jest szczególnie żywa i bolesna. Traktat w Trianon, to niezapomniana rana, o której każdy Węgier pamięta...

Pod baldachimem — największą świętość narodową Węgier — prawa ręka św. Stefana w kapliczce ze szczerego złota, wysadzanej drogi kamiennymi.

Niosą ją największe dygnitarze państwa — największa relikwiarz odbywa tę drogę z zamkowej kapli

cy do koronacyjnego kościoła raz tylko w roku.

Łgna oczy do przepysznych strojów — aksamitne szkarłatne, zielone i fioletowe peleryny, złociste szamerowania, lamparcie i tygrysie czapy, pyszne pióropusze i diademy. Gwardia królewska — w białych do ziemi pelerynach, podbijanych szkarłatem i zielonych mundurach, złotych safianowych butach.

Maszerują w zwartym szyku grupy regionalne z całych Węgier; takiego bogactwa i rozmaitości strojów ludowych nie zobaczysz już na wsi węgierskiej, gdzie tradycje ludowe powoli wymierają, jak na całym zresztą świecie.

Idą dziewczęta z Kalocsa — spódnice króciutkie białe, zahaczone w bukiety różnobarwnych kwiatów, kwieciste czapeczki na głowie. W Kalocsa najmniejsze dziecko umie już rysować kwiaty, kwiatami zdobi się spódnice i fartuchy, poduszki i meble, naczynia i okienne ramy — kwiatowymi motywami dziecięcymi z Kalocsa ozdobił nawet pawilon węgierski na wystawie paryskiej.

Zgoda odrębne są ciężkie, suto sfaldowane spódnice wieśniaczek z Bugac. Ciężki purpurowy aksamit polyskuje jak ciemne wino w omszałej butelce. Zielone aksamitne spódnice kobiet z Hortobágy — sławnej węgierskiej puszczy przypominają zieleni bezkresnych stepów.

Tłum na ulicach powoli się rozprasza — w bocznych uliczkach i zielonej alei spacerowej pod koszarami zaczyna się już

święteczny jarmark — wykrzykuje głośno sprzedawcy preli, lodów, ludowych zabawek, kukurydzy gotowanej na poczekaniu w żelaznych kociołkach.

Popołudniu tłumy płyną w inną stronę: pałacowe wzgórze wyludnia się, rojno natomiast i gwaro na ulicach Pesztu. Na najwspanialszej arterii miasta — ul. Rakoczego tłok jak w kościele — przyjeźdźni z prowincji przystają przed wystawami sklepów, turysty uzbrojeni w nicodzące aparaty fotograficzne „wylapują” z tłumy co ciekawsze typy ludowe w barwnych strojach i błagają na migi o pozwolenie sfotografowania.

Głowa przy głowie tłoczą się ludzie w budapeszteńskim Praterze — Angol Parku. Z wielkich afiszów szczerzą zęby srogie paszce lwów i tygrysów. Szaleje górka kolejka, rozlegają się pisaki i śmiechy w ruchomej beczce, rozpryskuje się z szumem woda przy diabelskim młynie, gdy zsuwa się do niej szalonym pędem łódź pełna rozochoconych par. Kręci się w szalonym tempie karuzele, zawodzi harmonie, grzmi donośnie wojskowa orkiestra w rozjarzonym światłami okrągłym kiosku. Meczka, wrzaskliwa, rozszalała kakaonia barw, światła, dźwięków. Lud bawi się... bawi się naprawdę, całą duszą i sercem, raz do roku w dzień św. Stefana. W inne dni i tygodnie bawią się w Angol Parku przeważnie — żadni wrażeń cudzoziemcy.

Późnym wieczorem, gdy niebo

staje się ciemnogrnatowe i nad Dunajem rozjarza się morze światła — znowu ciągną tłumy w stronę nadbrzeżnych bulwarów.

Na wyniosłym malowniczym wzgórzu św. Gellerta błyszczą świetlną wstęgą mury starej twierdzy. Wyraźnie, jasno jak w biały dzień rysują się na ciemnym firmamencie koronkowe wieżyczki bastionu rybackiego, który wygląda jak nierzeczywista zjawia, białe pałac legendarnego władcy. Smugi reflektorów pełzają po niebie, wysrebrzają nagiym blaskiem dachy domów na dalekich wzgórzach Budy.

Za wzgórze św. Gellerta zaczyna strzelać petardy i świetliste race. Wybuchają z hukami, rozpryskują się wysoko na niebie błękitne, złote, zielone i srebrne bukiety iskier. Świetliste kolorowe gwiazdy spływają wolno z nieba i zapadają bezszelestnie w wodę. Mosty przystrojone rzędami lamppek lnią jak drogocenne naszyjniki. Huk petard i ogni sztucznych miesza się z dźwiękami czardaszy i tęsknego zawodzenia cygańskich skrzypiec w bulwarowych kawiarniach. Jeszcze pozostaje cała noc do zabawy — cała długa noc, którą biedniejsi spędzą w nastrojowych piwnicach — winiarniach starej Budy, — bogatsi na czarodziejskiej wyspie św. Małgorzaty, gdzie kwitnie 20.000 róż wśród pachnących ogrodów i platanowych alei jarzą się czerwone lampiony najelegantszych dancingsów.

Noc jest długa — i wiele beczek fokaj i szampana popłynie jeszcze do świtu...

Stanisław Grzelecki

Okno na świat baśni

Na marginesie „Mitologii” Vibraye’a

Powszechną u wszystkich ludzi cechą jest zaciekawienie dla rzeczy niezwykłych. Świat fantazji i wyobraźni, świat snu i baśni posiada dla każdego z nas pewien urok, pociąga swą egzotyką, zaciekawia tajemniczością.

Świat rzeczywistości, w którym żyjemy ze swą niezmiennością przemian, zawsze w swej istocie jednakich, ze swym rytmem ustalonym zjawisk, ze swą racjonalną organizacją społeczeństw, z systematyzacją naszego osobistego życia wreszcie — nudy nas niekiedy. Co roku jest wiosna, co miesiąc — pensja (lub jej oczekiwanie), co tydzień „odpoczynek”, a co dzień te same niemal czynności. Nie myślimy o tym co dzień, ale gdy zdarzy się okazja, aby choć na chwilę wyrwać się z kołowrotu rzeczywistości, wówczas — przynajmniej się — chętnie słuchamy nawet bajek. A w każdym razie wędrujemy z przyjemnością w krainę wyobraźni, o ile... nie gramy w brydża.

Idziemy wówczas do teatru, do kina, albo (co — rzadziej) czytamy książkę. Oddajemy się „rozrywkom intelektualnym”, czyli po prostu pobudzamy wyobraźnię i fantazję do tworzenia obrazów i wydarzeń niezwykłych w naszym codziennym życiu.

Związana lektura książek ułatwia pracę naszej wyobraźni i fantazji. Tempo filmu nie zaw-

szę pozwala odpowiednio zużytkować natłok wyobrażeń spostrzegawczych, jakie przeżywamy, w teatrze niekiedy gnębi nas zglębienie zawiłego problemu sztuki, natomiast czytanie książki, a raczej obezwadanie z książką pozwala na spokojną, powolniejszą lecz za to obfiszłą pracę wyobraźni, wytworzenia wolna odpowiednią atmosferę, pobudza fantazję.

Są tematy, dla których książka jest bodaj jedynym właściwym ujęciem. Takim tematem jest chyba mitologia. Gdybyśmy ujęli Olimp na filmie i usłyszeli Zeusa gromowym głosem wydającego rozkazy po... angielsku — efekt byłby chyba tylko komiczny. Kiedy czytamy o tym, jak Zeus zalecał się do Europy, staraliśmy się wyobrazić to sobie, upodobniłmy się w tym do — owych Greków, dzięki którym wyobraźni powstała mitologia — najczarowniejsza baśń ludzkości.

Mitologia jest zbiorem bajek, których słuchamy najchętniej i do których powracamy zawsze. To też opracowania jej są niezliczone. W literaturze polskiej jednak poza wielką „Mitologią” Greków i Rzymian Alberta Zippera, i „Mitologią” Jana Parandowskiego, które są raczej streszczeniami mitologii dla użytku młodzieży szkolnej, jedynie tylko prof. Tadeusza Zielińskiego „Starożytność bajeczna” stanowi o-

pracowanie mitologii o rzetelnej wartości zarówno literackiej, jak naukowej. Brak jest jednak dzieła, któreby mówiło o „mitologii dla dorosłych”, to jest ujmowało mitologię tak, jak ona przetrwała do naszych czasów, bez koniecznych, jeśli idzie o młodzież szkolną... uproszczeń, a jednocześnie czyniła ją dostępną dla szerszych warstw inteligencji czytającej.

Tę lukę w pewien sposób, choć nie całkowicie, wypełnia „Mitologia” Henri de Vibraye’a *).

W trzydziestu ośmiu krótkich rozdziałach opowiada Vibraye o wszystkich bóstwach greckiego Olimpu, o ich przygodach, walkach i triumfach, miłości i stosunkach z ludźmi. Opisuje też mity i obrzędy kultu mitycznego a wreszcie legendy, krążące wśród Greków o bohaterach — bogom podobnych.

Wszystko to jest bardzo, może za bardzo treściwe, jednak dostatecznie barwnie podane, aby się czytało z przyjemnością. Wstęp opracowany przez prof. T. Sinkę ułatwia orientację w naukowym traktowaniu mitologii.

Doskonałe rotograviury podnoszą wartość książki.

*) Henri de Vibraye „Mitologia” z 32 rotograviurami. Przełożył Karol Dąbrowski z przedm. dr. Tadeusza Sinki, prof. Uniw. Jagiellońskiego. Biblioteka wiedzy, tom 27. Trzaska, Evert i Michalski. Warszawa. Str. 211 + XVI.



Kościół Mariacki

Akademii Sztuk Pięknych. Jest to okres powstania „Rybaka”. Takie natężenie i nasycenie kolorów nie zjawi się już potem w żadnej z jego prac. Wyczółkowski z czasem przestaje już interesować się światłem, jako wyłącznym elementem, wzamian wprowadza do obrazów stonowanie i pewne wyrażenie koloru. Tematami prac zaczynają być przede wszystkim kwiaty, w których wypowiada się kolorystycznie i drzewa — dęby. To przetrwa do ostatnich chwil jego życia i będzie przewijało się przez rysunki kredką, tuszem, akwarele i prace olejne. Jednocześnie zjawia się grafika, którą później doprowadzi do doskonałości i którą wypowiada swoje dęby rogalińskie, ciszy, świerki i całą potężną poezję puszcz, będącą odtańcem jego stałym i niewyczerpanym tematem.

Chronologicznie biorąc, następuje cykl huculski z okolic Jaremuża, graficzny cykl ukraiński i świetna grupa akwarelowych obrazów krakowskich. Jednak dominującą formą wypowiedzenia się jest grafika, pozostawiająca swoje piętno i na rysunkach i na malaturach.

Pisząc o jego pracach, trudno pominąć dekoracyjność i niespożytkowaną subtelność „Storczyków” lub typową lapidarną połączoną kolo rystycznych w „Kaczęciach”.

Zresztą recenzując wystawę Wyczółkowskiego, nie można wda-



wać się w estetyczne rozważania nad wszystkimi jego pracami, bo nawet najmniejszy ich zespół swoją różnorodnością i bogactwem unicestwia krótkie i wyczerpujące omówienie.

Wyczółkowski był człowiekiem na wielką miarę i superlatywy są nieodłączną częścią każdego z nim artykułu. A nie bez znaczenia jest fakt, że superlatywy pisane o nim pokrywają się w zupełności z wrazeniami, jakie wyjątkowo liczna publiczność z jego wystawy wynosi. To się wyczuwa w sposobie patrzenia i w przygodnych rozmowach.

W Zachęcie pokazano tylko dzieła malarskie Wyczółkowskiego, zbierane głównie ze środowiska warszawskiego. Wystawę grafiki Mistrza, bez której nie można wyobrazić sobie całokształtu jego twórczości, odłożono na później.



JESTEM SYMBOLEM SZCZĘŚCIA

Nie zawiodę tych którzy mnie wierzą. Radzę niezwłocznie kupić los w kolekturze DZIERŻANOWSKIEGO NOWY ŚWIAT 64 • PRETA 5

TAM ZAWSZE PADA WIELE WYGRANYCH

wstydlivosti, przychodzą graficy i malarze, po prostu dla tego, aby się czegoś z jego ogromnego przesio poiwiekowego doświadczenia i niezwykle subtelnego odczucia nauczyć. Robili to i za jego życia, ale dyskretniej. Obecnie ma to charakter pełnej pietizmu pielgrzymki.

To, że Leon Wyczółkowski był profesorem Akademii krakowskiej, a ostatnio, aż do śmierci, Akademii Warszawskiej — było tylko fragmentem jego „profesury”. Lata oficjalnego zajmowania katedry profesorskiej były stosunkowo krótkie i nie one stanowiły o wielkim wpływie na nasze życie artystyczne i na rozwój naszej sztuki. Każdy jego obraz, czy litografia były nowym sio-